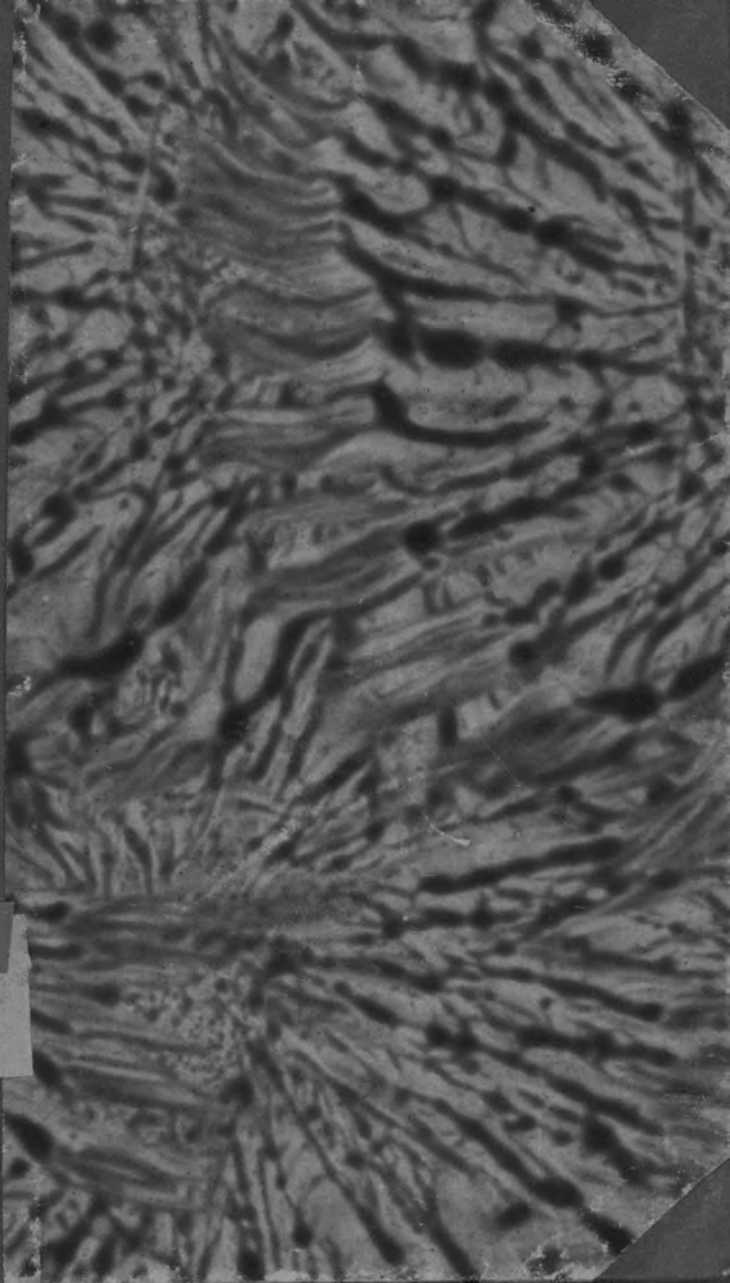


50002



K. SZAJNOCHA

1428
ZDOBYCZE PŁUGA POLSKIEGO

744 943.8
BRODY KRZYŻACKIE



6009 457



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



ZDOBYCZE PŁUGA POLSKIEGO.

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy: z rycerskości i z zamięłowania w rolnictwie. Jakoż pa nowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historyi i w codziennem życiu narodu, ale nie zostawiły obie równie widocznych rezultatów po sobie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzymami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiem i zajęciach rolniczych?

Najbliższą tego wynikłością byłoby znaczne udoskonalenie rolnictwa jako sztuki, lecz w tej mierze historia wcale smutnej uczy nas prawdy. Pomijając czasy i marzenia starosłowiańskie, nie byliśmy nikomu mistrzami w sztuce rolniczej, a dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej przedstawiają rolnictwo w nader opłakanym stanie upadku. Je-

żeliby nasz przyrodzony pociąg do pracy około ziemi miał nas zniechęcać do zatrudnień innego rzędu, mianowicie odejmować nam serce i uzdolnienie do zajęć przemysłowych, natenczas ta skłonność sielska okazałaby się w ostatnich wynikłościach raczej szkodliwą, niż zaletną. Nawet wychwalane nieraz zaopatrywanie głodnych ludów zamorskich płodami ziemi polskiej nie rozstrzyga stanowczo powątpiewania. Umniejszony bowiem w dwóch ostatnich wiekach handel zbożowy sprowadzał w rzeczywistości bardzo mało złota do skarbców naszych, a nie zasilone rolnictwem ubóstwo materialne po zejściu dynastji Wazów przyczyniło się w wysokim stopniu do katastrofy późniejszej. Przy tylu zaś przeciwnych rolnictwu naszymu względach czemuż ono ostatecznie zasłużyło się dziejom?

Aby odpowiedzieć na to, wypada przede wszystkim przypomnieć z historyi wielką niejednostajność, jaką pod względem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych epokach dawnego państwa polskiego różne jego prowincye. Rzecz to równie powabna, jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W., mnożą się rysy do takiego obrazu.

Wówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony krakowskie, sandomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy, zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmią gwarem pracy we wszystkich zawodach

życia. Starożytne nadania i konfirmacye¹⁾ kościelne z wieków XII i XIII wyliczają nam prawie tę samą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tyńieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodniopolskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa, w tak zwanej Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam, oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych, zaledwie tu i owdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkimi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzone blonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskimi gdzieniegdzie zgłiszczami na Podolu, i trawne oczerety²⁾ a stepy ukraińskie. Stąd kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemogie wsie i miasteczka.

Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W. Stanisław ze Stróżysk otrzymał od pana swego w r. 1362 Rzeszów z całym obszarem ziemi dookoła. Nieco dalej nad Dniestrem wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadał około 1390 darem Władysława Jagielly całą późniejszą Samborszczyznę od Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiellów, Władysław, obdarzył w r. 1441 zasłu-

¹⁾ Zatwierdzenia dawniejszych nadania. — ²⁾ Trzcina, kurośla.

zonego w walkach z Tatarstwem rycerza, Jana z Sienna, starodawnym Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa. Ów Samborszczyzną uzamożniony wojewoda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księstwo Podolskie, z dalekimi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Orda. Lada chudopacholek z Mazowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi, albo kupował go za bezcen i osiadał na nowym gruncie.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców, darowizny pustych obszarów bywały istotnem dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich, szły nietknięte stopą ludzką zarośla coprędzej pod uprawę, gromadziła się zwolna zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedlili się z kolei Rus Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich

składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donataryusze¹⁾ rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepelnionego drobną szlachcią Mazowsza napływały na Ruś z Jagiellą i panującym na Belzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenty ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawili ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czem innem się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę, sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w polu czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejszych posiadłości, zakładając wsie i miasteczka. Drobną szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopów. Wiele z owych wiosek drobnoszlacheckich wzdłuż całego podgórzia Karpat powstało z wydzielonych pojedynczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona

¹⁾ Obdarowani.

z nich działwa rozbudowała się później w dzisiejsze wsie szlacheckie. Zapewne nieporównanie większa liczba osad województw Ruskiego i Bełskiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych upraw gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolnej na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale historii takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie, niż do czekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Naprawdę pytałbyś u dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, skąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenty fundacyi ¹⁾ i jaką taką znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za wskazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastąpiło, nie było też wsi dokoła. Dopiero przymnożenie się ludności i osad w pewnym kręgu wywołuje potrzebę miasteczka, z odbywającymi się w niem targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje ²⁾ się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Przynosiło wprawdzie zakładanie mia-

stecek znaczne korzyści założycielom i bywało niekiedy z tej przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie. Nigdy jednak nie można było myśleć o założeniu miasteczka bez dostatecznej ludności sielskiej w pobliżu.

Stąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwono-ruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z trzynastu obwodowych miast dzisiejszej austriackiej Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełskiego i podolskiego, tylko trzy stare grody, Lwów, Przemyśl i Sanok, znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastąpiły dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

I tak Rzeszów i Stryj były małemi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1431 nową otrzymała lokacyę ¹⁾. W miejscu dzisiejszego Sambora stało spustoszone sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około r. 1390 założył miasto Sambor. Złoczów należał w wieku XV jako wioska do dóbr oleskich i wzniósł się dopiero za Sienieńskich, Górków, Sobieskich. Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi, Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w r. 1540. Brzeżany urosły w mia-

¹⁾ Przywilej, przez który wieś albo osada otrzymywała samorząd miejski.

¹⁾ Założenia ²⁾ Umieszcza się.

steczko dziesięć laty pierwiej za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żółkiewski około roku 1597 na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli, Stanisław Rewera Potocki, około roku 1654 zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasteczko Stanisławów. Za Czartkowskich nastąpił Czartków roku 1522. Zaleszczyki wzniosły się dopiero w ciągu wieku XVIII, pod rządem rodziny Poniatowskich.

Ledwie też nie każdy z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacją jakiegoś miasteczka. Tęczyńscy np. w r. 1605 założyli Toporów, około 1560 Podgrodzie w pobliżu Rohatyna. Sieniawscy oprócz Brzeżan r. 1552 wzniesli Prokopów czyli Wojniłów, 1549 Kałusz, 1578 Tustan czyli Chorostków, 1576 Oleszyce, około 1676 Sieniawę. Zamojscy r. 1580 Zamość, 1615 Tomaszów niegdyś Rogoźno, 1588 Krzeszów. Tarnowscy oprócz Tarnopola zbudowali około roku 1548 Tarnogórę. Żółkiewscy przed założeniem Żółkwi dali około roku 1584 początek Brodom. Potoccy oprócz Stanisławowa założyli 1553 Suchostaw czyli Jabłonów, około r. 1570 Potok, 1676 Tartaków, około 1692 Krystynopol, 1715 Kutry. Herburtowie ufundowali 1515 Podkamień, 1538 Kukizów, 1566 Dobromil. Żorawińscy 1489 Bukaczowce, 1563 Jaryczów, około 1563 Żurawno. Lipsy 1607 Bełzec, około 1620 Lipsko w Żółkiewskiem. Łaszczowie 1503 Strzemilcze, 1549 Łaszczów, niegdyś Domanysz. Tarłowie 1570 Mikołajów. Fredrowie 1580 Niemirów. Firleje 1570 Firlejów. Reje 1577 Rejowiec. Jordanowie 1595 Mi-

kulińce. Siemieniścy 1504 Pomorzany. Jazłowieccy 1559 Barysz. Mieleccy 1548 Ujście nad Dniestrem. Strusiowie Strusów. Opalińscy 1638 Opalin. Maciejowscy 1557 Maciejów. Płazowie 1615 Płazów. Pileccy 1569 Sokółów.

Pozostawałoby jeszcze do wymienienia kilkadziesiąt innych fundacji miejskich między Sanem, Bugiem a Zbruczem za rządów polskich. Z tych przynajmniej znamienitsze niech nam wolno będzie przypomnieć w porządku chronologicznym. Roku 1397 powstał Leżajsk. 1400 Hrubieszów. 1420 Dunajów. 1424 Sokal. Około 1431 Mrzygłód. 1431 Radymno. 1455 Rawa. 1471 Komarno. 1471 Kamionka Strumiłowa. 1510 Żurów. 1515 Uhrynów. 1515 Zahośce. 1525 Husaków. 1530 Borek. 1538 Wąreż. 1549 Budzanów. 1549 Mosty Wielkie. 1559 Husiatyn. 1571 Rozdół. 1588 Dubienka, niegdyś Dębno. 1588 Korytnica, niegdyś Wręby. 1591 Magierów. 1610 Baligród. 1611 Janów. 1615 Sasów. 1619 Kasperowce czyli Lutomirsk. Po 1665 Uścieczko nad Dniestrem. 1672 Wielkie Oczy itp.

Tyle miast i miasteczek przybyło województwom ruskiemu, bełskiemu i jednemu powiatowi Podola w przeciągu trzech wieków pod rządem nowych dziedziców polskich. Zenitem tej skrzętności kolonizacyjnej był wiek XIV, wzmagala się ona w wieku XV, upadała w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasilku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek dokoła. Ileż tych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenty fundacyjne nie podają nam ani daty ich na-

stania, ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlachecy z dalszych stron Polski, którzy nie tyle z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich i zapewne w nierównie większej połowie rękoma swojemi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladzią zaludnili, założonemi swoim staniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Co więcej — gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na pobliskie Wiśle województwa ruskie i bełskie, czyli na dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciasniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi, podolskiej i ukraińskiej. Jakoż w tym samym czasie, kiedy kolonizacja stron naddniestrzańskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dnieprem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w drugą połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części podobnie szlachty polskiej zasługą, i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczania nierównie większe trudności, niż rolnictwo w ziemiach województwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama bliskość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie znała wcale

zagonów krymskich, jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plagi, tu, na kresach ukraińskich toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami, a najeżdżającym ich z pobliska Tatarstwem pogranicznym. Były to napady każdodziennie, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyłuż chrześcijan. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednym do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni. Nadawało to osobliwszego uroku tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej w równym stopniu do pługa, jak do oręża. Ostatecznie atoli doznawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmiernego stąd utrudnienia i musiało nawet dwukrotnie być ponawianem.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego, drugi raz po zupełnem spustoszeniu Ukrainy wskutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem Andruszowskim roku 1667, a połową następnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych, lubo niędość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych, przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowicie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmieleckiego i hetmana koronnego, Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pie-

czolowitem staraniem króla Zygmunta III, a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV, zaczęły pustkowie ukraińskie z trudną do pojęcia szybkością napępiać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów: gospodarza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. »Ja sam« — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuski Beauplan — »założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1000 osad urosło«.

Na każdym pustkowie zakładano z niezmierną skwapliwością nowe wsie i miasteczka, nie zważając, na czym właściwie gruncie, nie otrzymawszy upoważnienia od króla. Bywało to powodem wielu nadużyć, i odzywały się w pismach i na sejmie głosy, doradzające, »aby prawem osady zakazane były wszelkie w dzikich polach, t. j. wszelkim ludziom prywatnym, bez danego przywileju na to«. Nastąpił wkrótce osobny rodzaj procesów o dorywcze zakładanie osad na cudzym gruncie. W jednej z takich spraw trybunalskich hetman w. koronny Koniecpolski zapozwał księcia Wiśniowieckiego o 40 miasteczek, zbudowanych przez księcia na pustej przestrzeni ziemi, która później okazała się przyległością hetmańskiego starostwa Perejasławia.

Cały owszem nieszczęsny bunt Chmielnickiego wyniknął pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczystej wsi Subotowa, lecz ze sporu o taką nowo przezeń założoną osadę czyli slobódkę, której, jako

na gruncie niewłasnym osiedlonej, pozabawił go chciwy podstarość Czapliński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — »wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała« — mówi współczesny Jerlicz. »Niegdyś za królów Kazimierza i Aleksandra Jagiellończyków« — czytamy w jednym z dzisiejszych pisarzy małosyjskich¹⁾ — »kiedy komu posiadłość ziemską wydzielano na Ukrainie, wymieniali dokumenty nadawcze na całej przestrzeni między Siniuchą a Tykiczem, tudzież od brzegów Rosi aż do ujścia Taśmina, niewięcej jak jednego lub dwóch poddanych; w dalsze zaś 100 lub 150 lat znajdujemy całą tę stronę już wielce zaludnioną«.

Tenże sam pisarz rosyjski daje nam bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niedys w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, siola zamieniły się w zgłiszcz. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu Andru-

¹⁾ Zapiski o jużnoji Rusi. Izdał P. Kulisz. Petersburg 1856—1857, tom I str. 88.

szowskiego zawarowano, aby pewną przestrzeń pogranicznej ziemi między Polską a Rosją pozostawić na zawsze pustką. Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru wzdłuż dzisiejszych powiatów czehryńskiego, czerkawskiego i kaniowskiego skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie bierzemy z samejże książki przytoczonego tu pisarza rosyjskiego, który niepodęjrzanem świadectwem swoim najlepiej poprze nasze twierdzenie.

»Wszystek tedy kraj ukraiński« — opowiada dalej p. Kulisz — »obrócił się w pustynię. Wiemy to z kroniki Wieliczki, który, ciągnąc w r. 1705 z Kozakami od Korsunia i Białej Cerkwi na Wołyń, przerażony był bezludnością zachodniej Małorusi... Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia, tak szczerze uposażona od Boga, miała zostać długo pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowu zjawił się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dniepru, ani powstrzymywała przemoc człowiecza, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych, z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, później dla zakrzątnienia

się około nowej ich uprawy i kolonizacji. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądź to w głębokiej Polsce za Wisłą, bądź w spokojnem Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzimych Poleszucków, i ich towioseczki pojawiły się najpierw na pobrzeżu Dniepru. Mowa tu głównie o stronach wyższej Ukrainy, około Kijowa i Berdyczowa, gdzie oddawna trzymała ziemię szlachta średniej fortuny, jak Zalescy, Bieżyńscy, Proskurowie, Olizary, Tyszowie, Bykowscy i inni. W południowych zaś i wschodnich częściach przeddnieprskiej Ukrainy rozciągały się prawie bez wyjątku ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie. Humańszczyzna przeszła od Strusiów do Potockich, Śmiliańszczyzna od Konięcpolskich do Lubomirskich, a w tych ogromnych posiadłościach, gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się ich oficjalscy i pełnomocnicy, podobnie jak właściciele górnych powiatów, sama szlachta herbowa. Do starostw, królewszczyzn i dóbr szlacheckich południowej i wschodniej części Ukrainy przeddnieprskiej napływała ludność zwolna, tymże samym sposobem: bądź to z różnych kryjówek dotychczasowych, bądź też z dóbr szlacheckich północnej Ukrainy. Dowiadujemy się o tem z mnogich procesów, które pod owe czasy toczyły się tu z prywatnych chłopów, od pana zbiegłych



»Kulminacyjnym¹⁾ punktem tej kolonizacji ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humańszczyźnie pod bezpośrednim zarządem Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich tudzież innych najskuteczniejszym środkiem osiedlania ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności, i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądź to z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądź też z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów, stałe na kresach Ukrainy konsystujących, a stąd partją ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie, nawykawszy do stron tułtejszych, pozbywali się chęci powrócenia do domu, i korzystając ze swobody zajmowania się czemkolwiek, obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa niezdale od stanowisk chorągwi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przed wszystkim myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada nie wzrastała nigdy inaczej, jak na prawach slobody, to jest uwolnienia od wszystkich powinności i danin na pewną liczbę lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową slobodę na różnych miejscach

¹⁾ Najważniejszym, najsilniejszym, głównym.

łunnego zgromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych praznikach — gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi. Rozumie się, iż gospodarz zamożny nie dał się uwieść wołaniem na slobodę. Lecz w każdym siole bywały sieroty, pokrzywdzone od starszego rodzeństwa, — byli utratnicy, którzy ostatni szczątek mienia z rąk wypuścili, byli kochankowie, obawiający się rozłączenia, lub doznający prześladowania, było nakoniec wielu ludzi, pragnących zmienić tryb życia. Wszystko to nadsluchiwało z radością obietnic nowozakładających się slobód, jako hasła do uwolnienia od wszelkich nędz i utrapień żywota codziennego. Zachowało się podanie z czasów osiedlenia Śmiłańszczyzny, jakoby książę Ksawery Lubomirski kazał obwoływaczom slobód ogłaszać na jarmarkach, iż ktokolwiek przybędzie do niego z cudzą żoną i z cudzymi wołami, on i takiego nie wyda i stanie za nim do prawa.

»Kiedy takim sposobem wzdłuż całego Dniepru, na starych popieliskach i rozwalinach, w zacieniu spokojnych, licznymi strumieniami zroszonych dolin, stały nowozałożone baraki, lepianki i od ręki ciosane chaty, znalazło się także i za Dnieprem niemało ludzi, którzy zapragnęli korzystać z nieporównanie lepszych warunków poddaństwa u nowych właścicieli zachodniej Ukrainy. A i ci nawzajem ślali ku nim przywabiające odezwę i ułatwiali im środki do przesiedlenia się. W ówczesnym stanie zarz. du i pogranicznej kontroli na lewym brzegu Dniepru przechodzenie na,

polską stronę rzeki było wcale łatwem, jak teraz z gubernii do gubernii, a w następstwie tego ka-
niowskie, czerkaskie i czehryńskie pustynie napeł-
niały się coraz bardziej i bardziej wychodźcami
z przeciwnych siół i grodów rosyjskiej Hetmań-
szczyzny. U rybaków dniewprowych przechowała się
po dziś dzień pamięć figur i krzyżów z zawieszo-
nym na nich snopem żyta, cepem i sierpem. Wy-
stawiano takie krzyże na wynioślejszych miejscach
pobrzeża, a miały one znaczyć, iż ktoś zakłada tu
słobodę i przywoływa osadników na pewnych wa-
runkach i wolnościach. W moc takowych warun-
ków uwalniano osadników zwyczajnie od wszel-
kich czynszów i powinności na pewien przeciąg
lat, co właśnie nazywało się *słobodą* czyli *swobodą*.
Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżają-
cemu jawno być mogło, na ile lat dana jest swo-
boda takiemu siólu, wbijano na wygonie słup, na
podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej
tkwiły kolki drewniane. Po upływie każdego roku
wytrącano jeden kolek, a gdy wszystkie lata mi-
nęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicie-
lowi ziemi i odbywać niektóre powinności.

»Obowiązki ukraińskich poddanych były na-
der łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne¹⁾,
pańszczyznyznaczano najwięcej 12 dni do roku
z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospo-
darstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano
bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy
nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie

¹⁾ Podatek od slynu, tj. od chaty.

plęwały głównie z chowu bydła, z miodu, wosku,
sadła, pędzenia wódki na małą skalę itp. Podsta-
rościowie i inni oficjaliści pańscy wzbogacali się
podarkami, które starodawnym zwyczajem składali
im poddani, ilekroć jakakolwiek potrzeba powoły-
wała kogo do dworu. Wzbogacano się także róż-
nego rodzaju handlem, mniej lub więcej godzi-
wym, osobliwie dostawianiem furazów¹⁾ wojskom
rosyjskim, które natenczas stały bez przerwy wzdłuż
granic Dniepru, albo u samych kresów Turcyi
Prowadzono wreszcie handel wysyłanemi na Za-
poroże przeróżnemi potrzebami do życia, które za
bezcen nabywały się w kraju, prawie bajecznie
urodzajnym, a szły drogo wzamian za konie
i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem
szlachta sama sobą się bogaciła i ani w obyczajach,
ani w czemkolwiek innem nie znajdowała
pobudki do obciążania poddanych robocizną. Stąd
w nader szybkim czasie dochodziły nowe sióła do
stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie
tego kolonizacja kraju wzrastała jakby cudem.
Wszystkie okoliczności współdziałały ku ubłogosła-
wieniu doli mieszkańców. Ale jak każde młode
społeczeństwo, tak i Ukraińcy nie znali troski o ju-
tro, nie zbierali zapasów chleba i, ufając żyzności
gleby, nie orali wcale na zimę. Zaczem zdarzało
się nierzadko, iż nieurodzaj jednego roku naba-
wiał mieszkańców straszego głodu. W historii
uprawy ziemskiej i gospodarstwa na Ukrainie przed-
stawiają się nam dwie ostateczności: albo nie-

¹⁾ Żywności.

i osiedlił. Oba żelazce okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasluga lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od oreżnych. Gromieni bowiem szablą polską, Tatarzy i Turcy wracali lat następnych na nowo z pożogą i rabunkiem w granice nasze, ani polski też oreż zgnębił ostatecznie Tatarów w Krymie i grozi dziś Osmanom w Carogrodzie. To samo zaś polskie narzecze, które przed trzystu laty słyszano tak szeroko po ziemiach ruskich, brzmi tam ciągle po uprawionych ręką polską obszarach i brzmieć będzie na zawsze po założonych przez nią siolach i dworach

BRÓDY KRZYŻACKIE.

Jesteśmy w roku pańskim tysięcznym pięćsetnym i dwunastym, na zamku w Krakowie, w kościele św. Stanisława. Nabożeństwo już się skończyło, gromadka pobożnych opuściła świątynię, przecież nadzwyczajny jeszcze ruch w niej panuje. Liczna służba kościelna stroi dom Boży ku jutrzejszej koronacyi pierwszej małżonki króla Zygmunta Starego, cnotliwej Barbary Zapolskiej. Jedni opinają kościół drogiemi makatami, drudzy wynoszą ze skarbca złote i srebrne naczynia kościelne, i według zwyczaju, zdobią niemi ołtarze, inni wreszcie odświeżają kosztowniejszą jeszcze ozdobę tego świętego miejsca, zawieszone u grobowca św. Stanisława *vota* pobożne, chorągwie nieprzyjacielskie, w zwycięskich bitwach zdobyte, i mnogie inne przeróżnego kształtu pomniki bogobojnej wdzięczności dawnych pokoleń.

Tylko dwie obecne w świątyni osoby, jedna

w bogatym węgierskim stroju, druga w białym płaszczu krzyżackim, zachowują się beczynnie, przynajmniej beczynnie ciałem, wśród tego ruchu. Są to dworzanie przybyłych na weselną i koronacyjną uroczystość książąt sąsiednich: Naderspana — wojewody węgierskiego, i Fryderyka, margrabi na Brandeburgu. Pragnąc jak najspieszniej obaczyć słynne wówczas na całą północ miejsce cudowne, zwrócili obaj pierwsze swe kroki po przybyciu do miasta ku świątyni i weszli niepostrzeżeni w jej progi. Osobliwie na Krzyżaku malowała się niecierpliwość ujrzenia przybytku, w którym tyle sztandarów krzyżackich z pod Grunwaldu ocieniało trumnę świętego patrona Polski; malowała się ciekawość przeświadczenia się naocznie o mnogich groźnych dziwach, jakie w Niemczech słyszał o tym grobowcu. Podczas gdy Węgier pobożnie u wnijsia klęczał, Krzyżak nie umaczał ręki w kropielnicy, nie przeżegnał się nawet u wstępu, lecz z uader światową skwapliwością zdążał naprzód, szukając oczyma pomnika męczeńskiego. Nakoniec stanął przed nim. Ale jeśli już sposób jego zbliżania się do tego miejsca słuszne wzbudzać mógł podziwienie, jeszcze dziwniejszy był jego pierwszy rzut oka na sam grobowiec. Był to wzrok wyraźnego oburzenia i przestachu. Zmarszczył brwi, owinął się ciaśniej w swój biały płaszcz o znanym czarnym krzyżu i chwycił się machinalnie za długą rudą brodę — ową brodę, która tak istotną cechę Krzyżaka stanowiła, że ich wszystkich zwano u nas pospolicie tylko »brodacami

o czarnym krzyżu — *barbati nigra cruce signati* ¹⁾. Mniemałby może kto, iż ten wzrok gniewny wyrażał patriotyczną zniewagę na widok wiszących tu proporców grunwaldzkich i tannenberskich. Bynajmniej. W tych czasach żaden Krzyżak nie czuł już upadku swego zakonu, nie marzył o wielkości i sławie. Jedynym celem jego życzeń — celem, który w istocie za lat kilka zrzućciem płaszcza zakonnego szczęśliwie miał osiągnąć — był kufel z piwem, były kostki szulerskie, żona dorodna i wszelkie podobne rozkosze spokojnego żywota. Wszakże i przy tych rozkoszach, i właśnie przy nich bardziej, niż w jakimkolwiek innym położeniu, — chodziło Krzyżakowi o całość swojej osoby, o całość swojej »skóry«, o swoją — brodę. A tu przed nim, przed jego żywymi oczyma, wisiały, obok krzyżackich chorągwi, pooddzierane Krzyżakom pod Grunwaldem, pooddzierane wielkiemu mistrzowi i pobitym komturom, pooddzierane ze skórą czarne, rude i jasnowłose brody. Co dotąd za granicą tylko z niepewnej tradycji gminnej, tylko z kronikarskiej znał wieści, to ujrzał teraz przed sobą w niewątpliwiej w namacalnej rzeczywistości. I ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciółom brodę ze skórą oddziera i w kościele, jako pobożne zawiesza *votum*. Miłe odkrycie, zjechawszy na wesele! Nuż który z tych dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnej pobożności! Potrzeba tylko zwykłej zwady weselnej, aby...

¹⁾ Brodacze, oznaczeni czarnym krzyżem.

Strach zdjął Krzyżaka. Odwrócił się ze zgrozą od okropnego widoku. Zimnym dreszczem drżący, wyszedł obok klęczącego u drzwi Węgra z kościoła i dopiero na dworze, pod Bożem niebem wolniej odetchnął.

Jak nasz Krzyżak w tej chwili, tak wielu Krzyżaków przed nim, tak wielu gościń w Krakowie bawiących Niemców, zwłaszcza Prusaków, opuszczało co roku z oburzeniem katedrę na Wawelu. Domowe podanie o brodach w Krakowie ciągnęło ich za przybyciem tamże ciekawie do kościoła, a doznany w kościele widok, opisywany z przestachem rodzinie i przyjaciółom w domu, dodawał coraz więcej wiarogodności podaniu. Niebawem stało się ono świętym artykułem wiary »ludowej«. A zakorzeniwszy się w ludzie, w życiu, przeszło ono także w literaturę, w kroniki. Jaki tylko kronikarz pruski opisywał odtąd bitwę grunwaldzką, każdy poczuwał się święcie do obowiązku przytoczenia szczegółu, iż zabitym mistrzowi i komturom brody ze skórą odcięto i w Krakowie na zamku w ofierze zawieszono. Znajdziesz tę wiadomość we wszystkich głównych pisarzach z końca piętnastego i pierwszej połowy szesnastego stulecia, w szczególności: u Szymona Grunaua w Kronice pruskiej, *Tract. XIV. C. XII. §. 3.* (Voigt *Histor. Prus. VII.*), u Kaspra Schütza w *Historii pruskiej*, str. 102, u Kaspra Hennenbergera w *Opisaniu Prus*, str. 300.

Niedość na tem. Już to swoją ustną, już to pisemną drogą, rozeszło się straszne podanie nie-

mieckie poza granice swojej ojczyzny, po stronach okolicznych. I tak np. doszło ono aż na Ruś, do uszu albo oczu autora, wydanej niedawno przez szanownego Teodora Narbutta, *kroniki ruskiej z XV-go lub XVI-go wieku*, zwanej powszechnie: »Kroniką litewską Bychowca«. Jakby od naszego przerażonego Krzyżaka oświecony, lub jakby wiadomość swoją dosłownie z przytoczonych powyżej kronikarzów pruskich przepisał, opowiada ten latopisiec litewski (wydanie z r. 1846 str. rękop. 77–78):

»Połowicu choruhwey nemeckich i borody Mistrzowi i wsich kuntorów jeho zmertwych obodrawszy, połowicu wzięli do Polski i połowicu do Litwy, hde toje borody i choruhwi w zamku krakowskom w cerkwi św. Stanisława, a w Wilni także u św. Stanisława zawieszony sut«.

Wreszcie, rozpleniwszy się tym sposobem po przestrzeni świata, rozprzestrzeniła się wieść nasza również w przestrzeni czasu. Wiek XVI-ty podał ją XIX-emu; Grunau, Schütz, Hennenberger — Kotzebuemu. I ten w swojej »Dawniejszej historii Prus«, tom III strona 372., nie pominął krwawej pamiątki w kościele katedralnym krakowskim, nie omieszkął wzdrygnąć się nad okrucieństwem Polaków. Jeszcze tylko potrzeba było, aby podanie pruskie, podbiwszy sobie tyle zdań, tyle ziem, tyle wieków, zholdowało ostatecznie wiarę samych Polaków. I owo zdarzyło się przed kilkunastu laty, iż zacny Teodor Narbutt, autor 9-tomowej historii litewskiej, jedy-nego w swoim rodzaju, a w naszych stronach, ze

wstydem wyznać przychodzi, prawie wcale nieznanego dzieła, pracował właśnie nad tomem szóstym, a w nim nad historią bitwy grunwaldzkiej. Opisuując śmierć wielkiego mistrza Ulyka, nie wiedział zrazu, czy ma przyjąć wiadomość o jego i komturów brodach odciętych, gdy wtem przypomniał sobie zdarzenie swojej własnej młodości, które rozstrzygnęło jego niepewność. Dla zabawnej treści tego młodocianego wspomnienia przytaczamy je tu własnymi słowy autora, jak ono w jego »Historii Litwy«, w 6-tym tomie, 6-tym dodatku, na stronie 45—47 jest umieszczone.

»Pamiętam« — mówi czcigodny dziejopis Litwy — »gdym jeszcze chodził do szkół w Wilnie, jak opowiadał przed ojcem moim ksiądz Korzeniowski, proboszcz kościoła św. Jana i zawiadowca przy fabryce kościoła katedralnego, mój krewny po matce: Po przeniesieniu nabożeństwa, mówił on, z tego kościoła do św. Jana skarbiec kościelny, ulokowany w jednym ze składów kapitulnych, pod ostatnie czasy zamieszkań krajowych i po zgonie księdza biskupa Massalskiego przyszedł w wielki nieporządek. Wkońcu, gdy wejście do miasta wojska rosyjskiego zagrażało poczęło, rozmaici urzędnicy kapitulni, obawiając się o reszty bogactw kościelnych roztratę, pobrali do przechowania paki i kufry, będące w skarbcu. Jeden z niższych tych urzędników, rozumie-

jąc, że to jest skryty podział prawem własności, gdyż w nocy przewożono te rzeczy dla ukrycia przed okiem niepotrzebnych ciekawców, starał się coś na swoją część dostać. Trafił do składu pod ciemny wieczór i tam, znalazłszy jeszcze ogromną szkatułę, okutą sowitemi sztabami żelaza, kazał ją wydzwignąć z miejsca i zanieść nie bez trudności najętym drągalom do swojego mieszkania. Skarb ten, zapomniany zapewne od bardzo dawnego czasu, nabawiał ciekawością swego lokatora. Zwierzył się swej troski jednemu przełożonemu zakonnikowi, i uradzili obaj, że w tej szkatule musi być coś nadzwyczajnego. Ona śni się we śnie, zjawia się w myśli czuwającego nieustannie i zajmuje do tego stopnia wyobraźnię, że zdaje się wszędzie za nim biegać, latać, przesuwać się.

»Ależ pamiętaj, księżę« — mawiał przełożony — »iż dawniej Twardowski mieszkał w Wilnie i wiele po nim rzeczy tu pozostało. Być mogło, że i ta skrzynia do tej kolekcji¹⁾ przekłętą należała. Przy miejscu świętem stała sobie spokojnie, dziś kto wie, co z niej wykluc się może. Lepiej gdzie przy kościele postawić, lub odesłać *ad locum priscum*«²⁾).

Ksiądz na drugie przystał. Lecz miejsce skarbcza już było zajęte na skład gipsów, marmurów połamanych i różnych podobnych rzeczy. Zdarzył się wkrótce i trzeci powierzeniec. Ten,

¹⁾ Zbiór. — ²⁾ Na dawne miejsce

wysłuchawszy opowiadań o dziwnej szkatule, zrobił wniosek, że przełożony przesadzone rzeczy wymyślił, zapewne, aby się w jego ręce dostał ten skarb zaklęty. Wnet więc doradził odbić i obaczyć, co jest w środku.

»Nie, nigdy na to nie zezwolę« — rzekł ksiądz. »Mogliby do mnie urościć pretensję. Przełożony, jak widzę, paplać wielki. Dowiedziawszy się o tem, wprowadziłby mnie w kłopoty«.

»On paplać?« — zapytał powierzeniec. — »Alboż to W. Pan dziś o tem się dowiedziałeś? Wiedząc, że ja od szóstej czy od siódmej osoby już wiem od tygodnia o wszystkim i tylko szukałem zręczności wybadania u W. Pana bliżej o tem«.

Przyszło więc do tego, że ksiądz udał się do biskupa Wołczackiego, zarządzającego dycezyą podówczas, wyznał rzecz całą i prosił o przyjęcie szkatuły. Biskup długo wypytywał, śmiał się z księdza, wkońcu, zebrawszy kilku z oświeconszych duchownych kapituły, kazał przywieźć szkatulę i w oczach swoich odbić.

Jakież było zdziwienie nasze, mówił ksiądz Korzeniowski, obecny przy tem, kiedyśmy oprócz niezmierniej ilości pyłu, przykrywającego zawinięcie, nic więcej nie znaleźli. W rzeczy samej to zawinięcie zdawało się magicznem: lekkie, obwiązane porwanymi sznurami kolorowego jedwabiu rozmaitej grubości; najcieńszy był jak palec, inne splecione po szmuklersku. Po rozwinięciu spostrzeegliśmy, że to były szczątki chorągwi i chorągiewek. Inne miały ślad frenzlów

złotych, srebrnych i kutasów, na innych były naszyte jakieś znaki, niewyrozumiałe dla dawności i zepsucia. Ten zaś cały pęk gałganów obejmował w sobie rzecz dziwną. Był to sznur, pleciony z jedwabiu czerwonego, długi więcej sążnia, do którego wplecione były na długości około półpięta łokcia, brody ludzkie rozmaitej długości i barwy, prosto jakby ze skóry odarte, siwe, czarne, ryże i t. d. Nikt nie umiał objaśnić, coby ten feston z bród oznaczał. Jedni wnosili, że to jakiś zabytek z czasów poganizmu; drudzy, że Żydom kiedyś za jakieś świętokradztwo odarto po pół brody ze skórą żywym, i te na pamiątkę zachowane być musiały przy kościele, razem z trofeami zwycięstw, których szczątkiem były owe chorągwie.

»Rzecz poszłaby w zapomnienie wieczne« — kończy szanowny Narbutt — »gdybym nie znalazł w kronice rękopisnej litewskiej Bychowca str. 77—78 wyraźnego śladu o brodach krzyżackich, podczas bitwy pod Grunwaldem z poległych przełożonych zdartych. Były więc te brody w kościele katedralnym wileńskim zawieszane razem z chorągwi połową. Lecz tak już dawno zdjęto pamiątki te, że nikt o nich nie pamiętał. Nawet podanie poszło w zapomnienie. Stało się to zdjęcie zapewne podczas przerabiania kościoła po pożarze, w r. 1610 przydarzonym. Przeło mogły leżeć w skrzyni okutej sto osiemdziesiąt i kilka lat. Gdzieby się podziały, nie wiem, gdyż i ksiądz Korzeniowski już nie żyje. Może w skła-

dach kapitulnych czy katedralnych znalazłby się ślad jaki jeszcze».

Mamyż teraz nielitościwie rozwiąć cały urok tego młodocianego wspomnienia, które zacny historyk Litwy w tak szczęśliwą godzinę »zapomnieniu wiecznemu« wydarł? Mamyż świętokradzką ręką targnąć się na utwierdzoną już wszelkimi warunkami nieomyślność tego gminnego podania, uszlachconego wykazaną powyżej genealogią tyłu stopni, uświęconego wiarą tyłu pokoleń, już nawet za udowodniony fakt w historię ojczyzny przyjętego?

Nie. Jesteśmy nieśmiali. Wolimy natomiast dokończyć naszą przerwana powieść o przestraszonym Krzyżaku.

Wybiegłszy z kościoła, zapragnął on koniecznie żywej duszy, przy której mógłby utulić swą niespokojność, ogrzać dreszcz przełknięcia. Zlitowanie niebios sprowadziło go wkrótce z rodakiem i znajomym. Był to Jodok Ludwik Decyusz, sekretarz króla Zygmunta, jeden z owych osiadłych niegdys w Polsce cudzoziemców, którzy doznane w nowej ojczyźnie łaski szczerą miłością ku narodowi, a znaleziony tu chleb nierzadko przyniesionem z sobą światłem odwdzięczali. Decyusz, jak wiadomo, prócz kilku pism pomniejszych, zostawił rys pierwszej połowy rządów Zygmunta, szacowny zabytek do historii panowania Jagiellończyków. Duszą i ciałem roz-

miłowany w swoich przybranych współziomkach, miał on zawsze słowo pochwały dla nich, słowo przygany i skarcenia zasłyszanych przypadkiem cudzoziemczych oszczerstw na ustach. Znał go nasz Krzyżak z tego względu i przeto nie śmiał wystąpić odrazu z wybuchem swego gniewu. Owszem, gdy się po pierwszym przywitaniu ciągnęła zawiązała rozmowa, począł z krzyżacką, obłudnie, chwalić obyczaje narodu, bogactwo panów i miłośzan, gościnność wszystkich.

»Tylko jedno« — dodał, spoglądając zukosa na towarzysza — »obraża tu oko przybylcą i szkodzi samym Polakom. Szkodzi, bo rozjątrza umysły cudzoziemców, skąd dla Polski wielkie z czasem niebezpieczeństwo wyniknąć może«.

»Nie rozumiem« — przejął Decyusz. — »O czem to mówisz?«

»A o brodach naszych w kościele«.

»O jakich brodach?«

»Toć o brodach wielkiego mistrza i komturów grunwaldzkich, co wiszą u grobowca św. Stanisława«.

Decyusz począł śmiać się z całego gardła. Krzyżak spojrział nań jadowitem spojrzeniem i rzekł po chwili: »Nie myślę, abys szydził z krwi twoich ziomków«...

Decyusz wciąż jeszcze śmiał się.

Krzyżak zdawał się być nieco zmieszany tą wesołością i dodał: »Może zechcesz winować we mnie, że to nie brody. I ja nie byłem pewny tego przed półgodziną. Lecz teraz naocznie

się przekonałem. Coż to innego być może, jeśli nie brody?»

»Co?» powtórzył Decyusz, ocierając sobie oczy, zasłane łzami od śmiechu. »Co? To buńczuki tatarskie. Buńczuki tatarskie i zwyczajne u tatarskich chanów i murzów ozdoby rzędów końskich, złożone z włosieni końskich, a przyczepiane rumakom książąt tatarskich wzdłuż szyi od uzdy aż do siodła. Co Polacy po każdym zwycięstwie nad pogaństwem wraz z zdobytymi buńczukami Bogu i św. Stanisławowi, patronowi królestwa, w Krakowie i w Wilnie, w ofierze składać zwykli«.

Krzyżak rzucił niedowierzającym wzrokiem na przyjaciela. Ten, wstrzymując się od nowego przystępu śmiechu, ciągnął dalej: »Mogę cię o tem zapewnić. Toć w moich własnych oczach nie jeden taki buńczuk, niejedną taką różnowłosą taśmę u św. Stanisława zawieszono. Niema jeszcze lat sześciu, jak ich co niemiara pod Kleckiem na Tatarzynie zdobyto. A i teraz (da Bóg) sprawdzą się świeżo nadeszłe wieści o walnem nad Tatarami zwycięstwie pod Wiśniowcem, przybędzie tryumfalnych ozdób świątyniom. Więc nie frasuj się, miły bracie, i płochem, ba, śmiesznem podejrzeniem nie krzywdź uczciwego narodu... Ale widzisz ówdzie tego dziewięćdziesięcio-letniego staruszka? To pan Betman, żupnik krakowski, także niemieckiego rodu. Pójdź, on ci prawdę słów mych potwierdzi«.

Opisane tu spotkanie się dworzanina margrabskiego z Decyuszem, jego pomyłkę na widok

buńczuków i rzędów tatarskich w kościele, wreszcie szczęśliwe wyjaśnienie mu całej rzeczy, opowiada sam Decyusz w swoim piśmie: »*De Jagiellonum familia*«¹⁾, w Pistoryusza Zbiorze dzieł do historii polskiej służących, w tomie II., na str. 288

¹⁾ O rodzie Jagiellonów



A Szajnoch
1428
Zdolice